Cena numeru 10 zł.

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok 1 10 Listopad 1946 Nr. 14



Rys. HENRYK TOMASZEWSKI

— Tak, hrabino. Jak dałem łapówkę w Komisji Mieszkaniowej, to mi zaraz przydzielili ten lokal.

Obywatel Rózga ma głos



Tak się jakoś, psiakość, plecie oraz składa, że co który z głównodowodzących obecną polityką świata — jak to się mówi — zachodniego odezwie się zasadniczo w sprawie urządzenia pokoju, to znaczną część świata ogarnia niepokój, a uciecha powstaje jedynie... u Niemców. No, bo jakże, powiedzcie, mają nie być ogromnie zadowoleni, gdy słyszą naprzykład o klinie albo o swojej sierocej szkopskiej doli, którą (w interesie Europy!) należy jak najszybciej poprawić? Sami chcą, owszem, do tej poprawy rękę przyłożyć: w każdej chwili — zapewniają — jesteśmy gotowi ruszyć na Śląsk, Prusy Wschodnie i Poznańskie. Tak nam dopomóż Byrnes!

Istnieje podobno w Berlinie jakaś Rada Kontroli Sojuszniczej ale ta Rada nie rada jest okiełznać zapał kontrolowanych. Co innego gdyby tym zapałem byli ogarnięci hitlerowcy, ale hitlerowców, jak wiadomo, w Niemczech już niema. Wszyscy przeszli w szeregi socjaldemokracji. A jak tu występować przeciw socjaldemokracji? I przeciw jej organizacji młodzieżowej, zwanej Werhwolf? Nieładnie!

Trzeba dla porządku przyznać, że nie wszyscy mężowie stanu odnoszą się do socjaldemokratycznych Schuh—macherów tak życzliwie, ciepło, protekcyjnie i z zaufaniem, jak Byrnes, Churchill czy Bevin. Właśnie sąsiad, ob. Czyżyk, mówił mi (a on w gazetach nawet pierwszą stronę czyta), że Niemcy są ostanio rozczarowani, okryci żałobą, a serca mają przepełnione jednym wielkim bólem.

— Dlaczego? — pytam uradowany — Dlaczego?

Na to Czyżyk:

— Stalin, braciszku, ich przygasił. W wywiadzie. Jakiś dziennikarz amerykański zwrócił się do niego z bardzo długimi pytaniami, na które generalissimus dał b. krótkie, rąbane odpowiedzi. Między innymi Amerykanin zapytał: a jak tam, proszę pana, z zachodnimi granicami Polski? Sprawa zapięta na ostatni guzik i targom nie podlega? A Stalin po prostu: Tak jest.

Bardzo się ucieszyłem z tej wiadomości.

— No, to — powiadam — szkopy po nosie dostały.

— Nietylko szkopy — rzekł Czyżyk, kiwając głową — nietylko szkopy. Szkopy, kochany, bezpośrednio, a pośrednio i ci, co ich podpuszczają do nowej wojenki. Dla tych mowa Stalina powinna być przestrogą, żeby inny kurs wzięli.

— A jak myślisz: wezmą?

Czyżyk wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem — oświadczył po namyśle — Jest naprzykład w takiej Anglii Partia Pracy. Niby socjaliści, a właściwie — to diabli ich wiedzą. Ot, zaprosili niedawno na listopad do siebie Schuhmachera, Neumanna i innych, którym w głowie czarna reichswehra i odwet wojenny. O czym, pytam, z takimi chcą gadać? I po jaką właściwie cholerę ta cała wizyta?

— Może Churchill sobie tego życzył — szepnąłem domyślnie.

— Coś ty? — skoczył Czyżyk — Churchill to zupełnie inne stronnictwo!

— No, niby tak — potwierdził — ale jeśli chodzi o stosunek do Niemców, to jest przecież z Bevinem w jednym bloku... Sam słyszałem przez radio, że w Izbie Gmin Churchill go bardzo chwalił za całą polityk_ zagraniczną.

— Ho, ho — gwizdnął Czyżyk, słysząc nazwisko Bevina — Na Bevina teraz oko świata wypięte. Czytałem, że jadąc do Nowego Jorku, na morzu pokój z poniterami niemieckimi redagował. Papierków przytem kolorowych użył: to, co uzgodnione — na białym, to co w sporze — na niebieskim. Najdziwniejsze, że na niebieskim jest dotąd sprawa Triestu: Gdańsk przedwojenny z niego chcą zrobić, czy co?

LUDWIK JERZY KERN

WILLA „POD SIEDMIU DĘBAMI"

Pewien angielski rzeźnik miał
willę „Pod siedmiu dębami".
— Willę tę Churchillowi dał
w prezencie jak kosz z kwiatami.

High life, bon ton! High life, pardon!
— w prezencie jak kosz z kwiatami.

Obejrzał willę mister W
i zatarł pulchne dłonie.
A później kombatantów sto
zaprosił sobie do niej.

High life, bon ton! High life, pardon!
— zaprosił sobie do niej.

Zjechało dużo pięknych aut
i wina piło stare.
I jubel był i bal i raut
(z zagrychą i z cygarem.)

High life, bon ton! High life, pardon!
— (z zagrychą i z cygarem.)

A potem mister trzymał speech
do stu tych kombantów.
I prosił: „Nie urońcie nic
z tego, co powiem wam tu".

High life, bon ton! High life, pardon!
— z tego, co powiem wam tu.

„Bardzo jest ważne — mówił — to,
gdy mówię, mówię wiem co.
A głównie by mi o to szło,
żeby przebaczyć Niemcom".

High life, bon ton! High life, pardon!
— żeby przebaczyć Niemcom.

„Żeby już w sercach, ludzież w nas
nie było do nich uraz.
Biliście ich, a teraz czas
do zgody iść na hurra".

High life, bon ton! High life, pardon!
— do zgody iść na hurra".

„Tę właśnie willę, którą mam,
którą się oczy cieszą,
jako pamiątkę dać chcę wam
na cześć współpracy z Rzeszą".

High life, bon ton! High life, pardon!
— na cześć współpracy z Rzeszą.

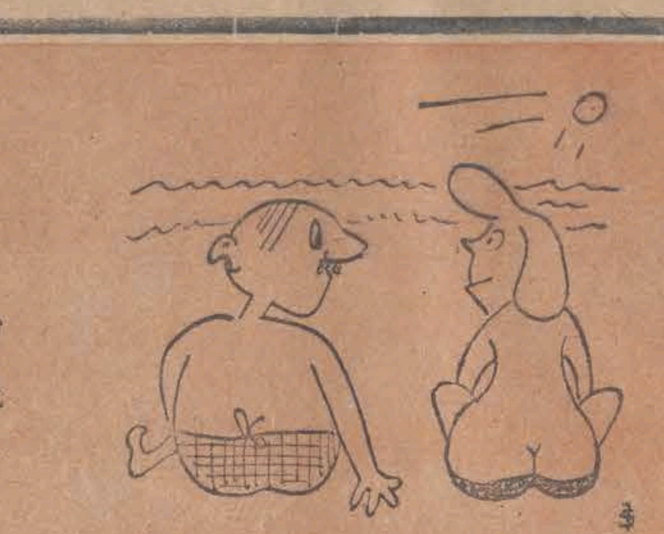
A na to wielki poszedł gwizd
pomiędzy kombatantami.
Od stołu mister uciekł i z
willi „Pod siedmiu dębami".

High life, bon ton! High life, pardon!
— uciekł żegnany gwizdami...



Rys. Lo_lou

— Już tylko dwa miesiące do końca roku!
— I to cię tak cieszy?
— No, bo pomyśl sobie, jak mało zostało „Tygodni", jubileuszów itd.



Rys. Józef Skonieczny

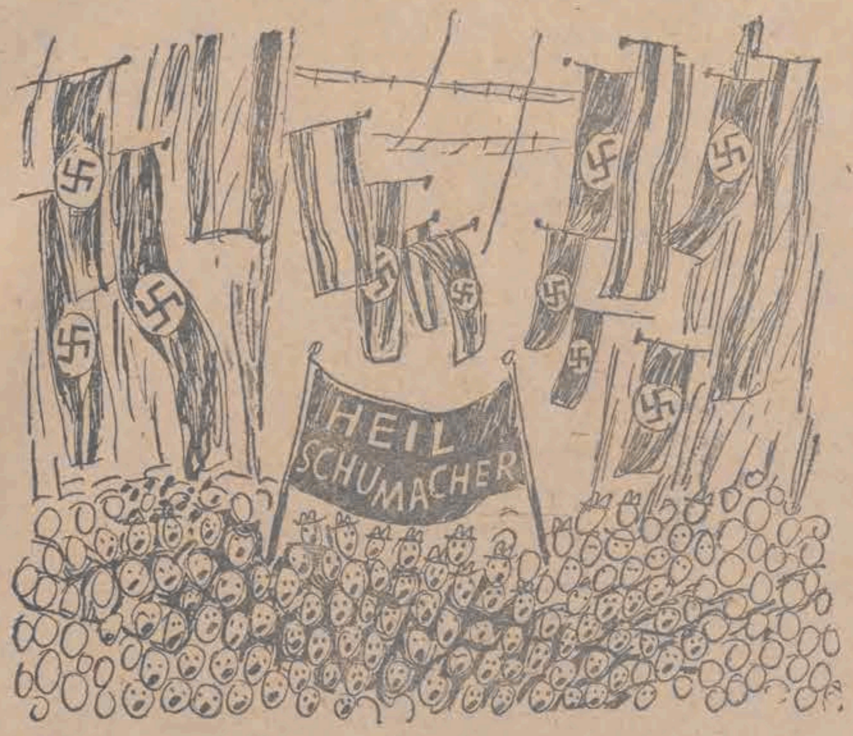
— Mam przeczucie, że coś przede mną ukrywasz?
— Ach, kochany, mniejszego kostiumu już nie było.



Rys. Lo_lou

— Wyobraź sobie, Teoś dał mi w gębę!
— No, i co? Zareagowałeś?
— Jeszcze jak! Patrz, jak mi spuchła!

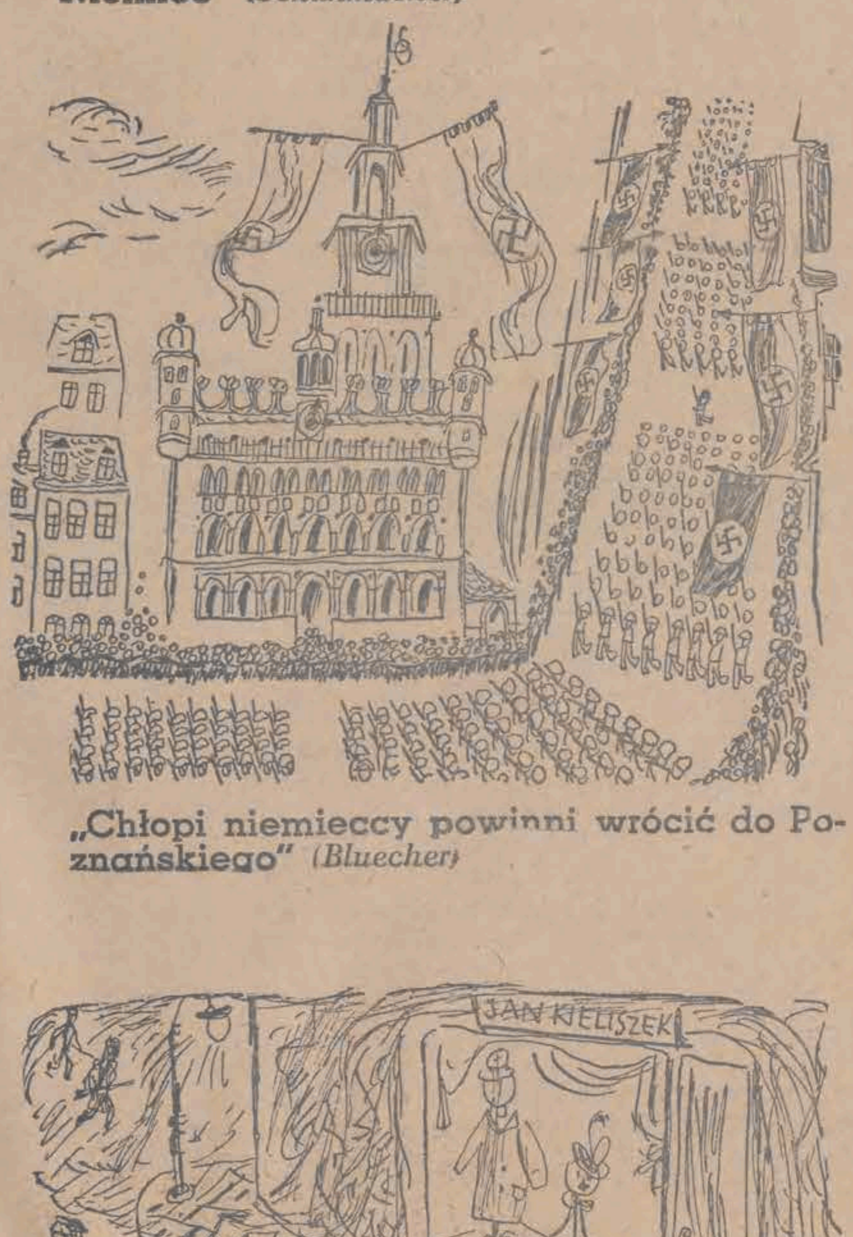
Pokojowe marzenia „socjaldemokratów“ niemieckich



„Niema pokoju świata bez ziednoczenia Niemiec“ *(Schuhmacher)*



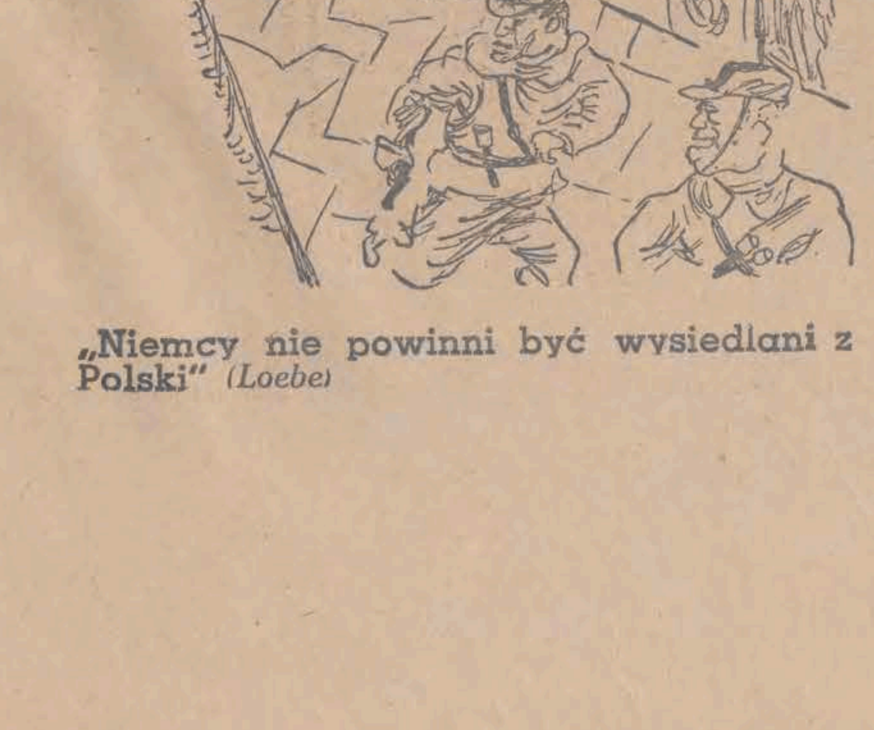
„Nie można dopuścić, aby Niemcy wyszły z wojny okaleczone“ *(Neumann)*



„Chłopi niemieccy powinni wrócić do Poznańskiego“ *(Bluecher)*



„Należy stworzyć Reichswehrę, która mogłaby siłą rozstrzygnąć sprawę granic wschodnich Rzeszy“ *(Severich)*



„Niemcy nie powinni być wysiedlani z Polski“ *(Loebe)*



„Volksdeutsche w Polsce powinni mieć bierne i czynne prawo wyborcze“ *(Loebe)*

Rys. HENRYK TOMASZEWSKI

STEFAN STEFAŃSKI

Teoria naukowa

Nie pamiętam w tej chwili, jak się nazywał ów znakomity myśliciel amerykański, ale to doprawdy mało ważne. Istotne jest, że po b. długich studiach tudzież obserwacjach doszedł do przekonania, że między nogami a głową człowieka istnieje dość ścisły związek, a mianowicie: na podstawie sposobu chodzenia można określić charakter, usposobienie i t. d.

Wybitny uczony ustalił — jeśli się tak można wyrazić — cztery zasadnicze typy kroków, a w zależności od kroków cztery zasadnicze typy ludzi. Więc kto śpieszy gwałtownie drobnymi krokami, jest pesymistą, przyczem u kobiet ten rodzaj chodu oznacza małostkowość. Małe, powolne kroki wskazują na czystość oraz prostotę obyczajów. Ci którzy kroczą powoli długim krokiem — odznaczają się głębokim umysłem i poważniej się ustosunkowują do zagadnień życiowych. Chód szybki dużymi krokami wynika z usposobienia wojowniczego i wygórowanych ambicji.

Świetny psycholog stwierdził ponadto (w rezultacie pracowitych dochodzeń), że ludzie przedsiębiorczy i ufni we własne siły — chodzą, zwracając stopy na zewnątrz; dyplomaci i w ogóle osoby zamknięte w sobie — maszerują delikatnie, opisując mały łuk nogą w lewą stronę; melancholicy tudzież bezduszni poruszają się wlokąc nogi za sobą; demony wreszcie energii — rwą na przód, uginając kolana.

Teoria znakomitego myśliciela, wybitnego uczonego i świetnego uczonego zdobyła z t. zw. punktu moje uznanie. No, bo powiedźcie sami, co za wspaniały klucz do poznania krewnych, znajomych, przyjaciół i najbliższych, o których się właściwie tak mało wie! Każcie im zrobić parę kroków i odrazu wszystko jasne: aha, chodzą tak i tak — znaczy tacy i owacy. Wiadomo, z kim ma się do czynienia.

Sprawdzenie teorii przyniosło mi początkowo znaczne zadowolenie. Stanąłem sobie np. w oknie i czekam na żonę. Idzie. Kroki małe powolne. Jakby mnie kto miodem posmarował, gdyż powolne, małe kroki — czystość i prostota obyczajów. Gdy jej o tym z radością zakomunikowałem, zapłakała z zakłopotania i wzruszenia:

— To cudownie! — oświadczyła. — Teraz nareszcie będę wiedziała, jak mam chodzić!

Do wyników, potwierdzających teorię, doszedłem również w różnych miejscach publicznych, gdzie ludzie najbardziej nogami pracują: w „Mewie" „Rivoli", „Titinie" i t. d.

Gwałtowne dreptanie drobnymi krokami lub powłóczenie nogami na parkiecie dancingu pozwoliło mi z łatwością określić prawdziwe usposobienie rozbawionych w okresie odbudowy tudzież zakładania zrębów: u mężczyzn — pesymizm i melancholia, u kobiet — małostkowość.

Oszołomiony sukcesami w w/w zakresie, zwróciłem baczniejszą uwagę na chód przyjaciela mego i mego domu. Patrząc mianowicie, jak zmierzał z kopyta po forsę do redakcji, powitałem go w drzwiach okrzykiem:

— Brawo, Stasiołek! Demon energii jesteś!

— Co takiego? — zdziwił się przyjaciel — Demon energii? Dlaczego?

— Z chodu wynika. Kolana ci się uginają.

Stasiołek popatrzył na mnie mętnym wzrokiem.

— Kolana — rzekł — powiadasz, mi się uginają? Masz rację. Ale i tobie też by się ugięły, żebyś tyle co ja wypił. Nie zrażony tym pierwszym niepowodzeniem nie chciałem dać mu się wymigać od teorii naukowej. Zaczaiłem się pewnego razu i przez dłuższy czas szedłem za nim Piotrkowską.

Zebrawszy dostateczną ilość materiału informacyjnego, podbiegłem do Stasiołka, mówiąc z uśmiechem triumfu:

— No, bracie, teraz to się nie wyprzesz. Obserwowałem cię dokładnie: dyplomata jesteś i w ogóle facet skryty, zamknięty w sobie!

A ten znowu uderza w zdumienie:

— Co ty wygadujesz! — krzyknął — Skąd dyplomata? Że getry noszę?

— Nie, nie dlatego, że getry, tylko dlatego, że idąc opisujesz stale mały łuk nogą w lewą stronę!

— Zgadza się — potwierdził — ale nic dziwnego, że opisuję łuk, bo mam podarty pantofel...

Rzeczywiście, pantofel był podarty. A z tymi teoriami naukowymi to jest, psiakość, tak, że nigdy wszystkich okoliczności życiowych przewidzieć nie potrafią.

(Z przygotowanego do druku zbiorku utworów satyrycznych p. t. „Ozór po polsku")

BOGDAN BRZEZIŃSKI

W obronie filmu

Stu satyryków, stu wykpisów,
Żyło, wspaniale sobie żyło,
Jedynie z tego, że zażarcie
Z Kinofikacji sobie kpiło.

I żeby tylko, ach, za żarcie!!
Oni, bezbożni, prócz — za żarcie,
Kpili też za te alkohole,
Które najdroższe były w karcie!..:

;;Kinofikacja" — dziwne słowo;
Coś jakby z kina, coś z fikania..:
Że niby fiknąć chcesz ze śmiechu,
Gdy mowa jest o nakręcaniach:::

Że Film, miast kręcić, stale „kręci",
I że się z taśmą zbytnio pieści,
I — wszyscy święci! — Ford zapewne
Film za lat zrobi sto trzydzieści!::

Wszystko to bujda i przesada!
Pochwalmy wreszcie Filmu czyny!
Są „Zakazane" już „piosenki"
I film, co zwie się „Dwie godziny"!

Po każdym filmie nasz producent,
Zmachany, niby ten pies gończy,
Powiedział: — Ach, jakże to dobrze,
Że się nareszcie film ten skończył!

Lecz będzie gorzej gdy widzowie
W miasteczku albo większym mieście,
Powiedzą: Ach, jak to wspaniale,
Że film ten skończył się nareszcie!!.:

KAROL KOWALSKI

Dwie fraszki o jednej aferze

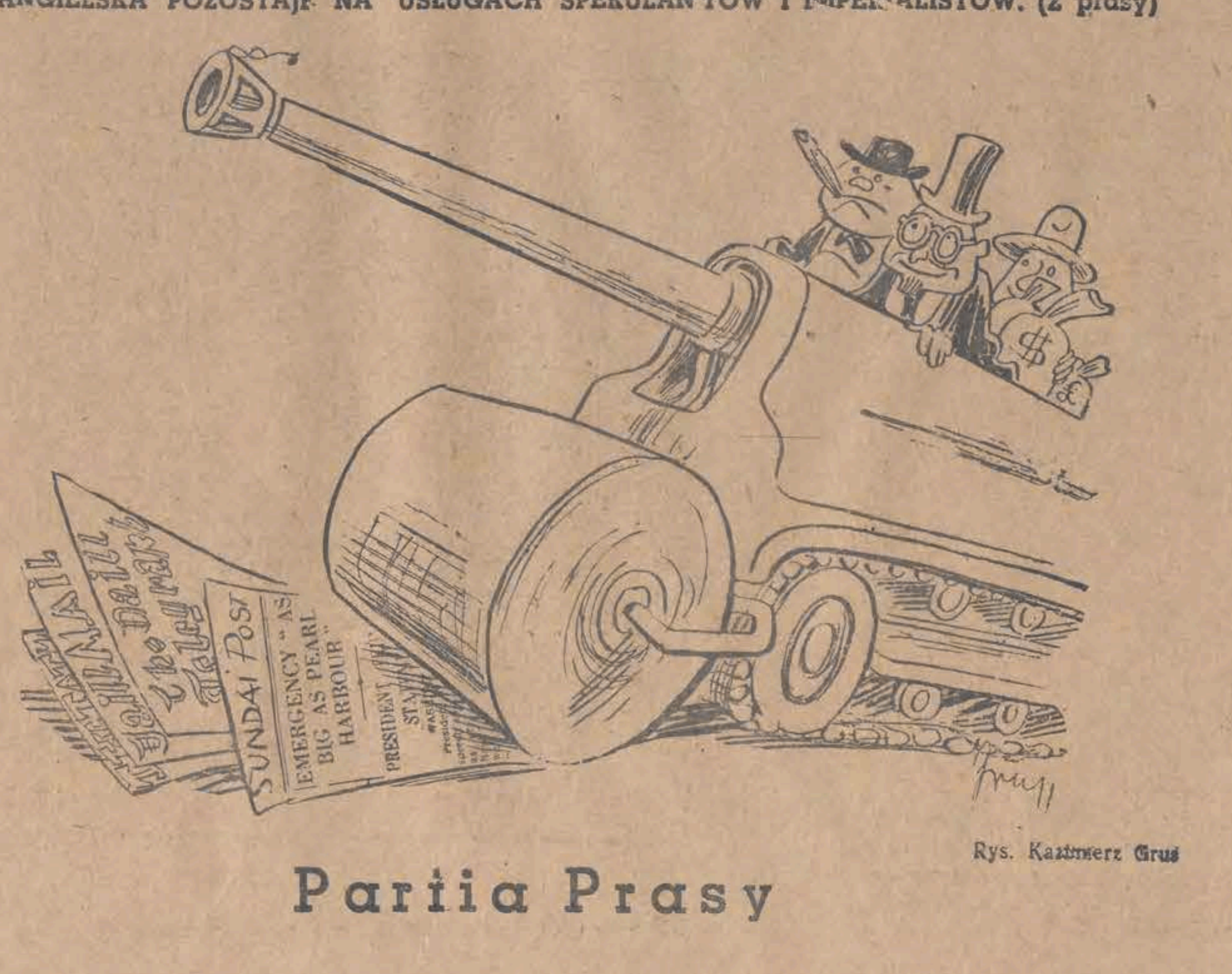
DAWNIEJ I DZIŚ

Arystokracja dawniej czciła
Swoje penaty oraz lary,
A dziś od larów i penatów
Woli funciki i do-lary!..:

NA PRZYKŁADZIE

Jaki stosunek jest arystokracji
Do Nowej Polski, oraz demokracji?
Zbyteczne chyba tutaj każde słowo:
Potoccy przykład dali OBRAZOWO!

PRASA ANGIELSKA POZOSTAJE NA USŁUGACH SPEKULANTÓW I IMPERIALISTÓW. (Z prasy)



Rys. Kazimierz Gruś

Partia Prasy

BOGDAN BRZEZIŃSKI

Barbarżyńca

Przyszedł raz do mnie Antek. Kolega szkolny.

— Jak się masz — powiada — Co słychać?

— Po staremu — odparłem rzeczowo.

— A wiesz — mówi Antek byłem wczoraj na koncercie szopenowskim. Ale przyznam ci się, że ja wolę Beethovena. Potężniejszy.

— Tak uważasz? — wtrąciłem grzecznie

— Tak.

Antek nerwowo poskubał się w nos

— Słuchaj — powiada — przeczytaj koniecznie „Rok ziemi obcej" Koźminskiego, bardzo interesująca rzecz.

— Przeczytam — obiecałem.

Antek pokręcił się na krześle i nagle zawołał z ożywieniem:

— Byłeś na „Wielkanocy"? Doskonała sztuka. Ten Otwinowski ma talent. Mocna rzecz. Zastanawiająca.

— Owszem, byłem — odparłem.

— A byłeś? Podobało ci się, prawda?

— Podobało.

Chwilę trwała cisza. Antek gorączkowo szukał tematu, wreszcie wypalił:

— Wiesz, czytałem wczoraj aforyzmy Pascala. Pascal powiada na przykład, że...

— Przepraszam cię — rzekłem łagodnie, kładąc mu dłoń na ramieniu — powiedz mi — ile?

Antek uśmiechnął się głupawo. Poczerwieniał.

— Jakto?... spytał cicho.

— No, ile chcesz?

Antek pociągnął nosem i odparł prawie szeptem:

— Jeżeli możesz, to górala... Oddam za trzy dni.

Dałem mu górala.

— No, widzisz — rzekłem z życzliwym uśmiechem — i po co wyciągałeś Beethovena, Koźmiskiego, Otwinowskiego i Pascala? Trzeba było prosto z mostu. Szkoda czasu!

Antek mruknął niewyraźnie jakieś słowa podziękowania i szybko się ulotnił.

Spotkałem go w miesiąc później na ulicy. Chciał ukryć się w bramie, ale było już za późno.

A, jak się masz! — zawołał udając radość z nieoczekiwanego spotkania — Co słychać? Wiesz, skończyłem wczoraj czytać „Mury Jerycha". Ten Breza jednak ma talent. Mocna rzecz!

— Rozumiem — przerwałem mu — co chcesz przez to powiedzieć..: że narazie u Ciebie krucho, ale tego górala mi oddasz, jak tyko będziesz miał trochę wolnej gotówki:.. Prawda?

Podał mi rękę w milczeniu i szybko się oddalił.

Teraz podobno Antoś opowiada naszym wspólnym znajomym:

— Ten Brzeziński, to jednak świntuch.

— Dlaczego? — pytają znajomi.

— Źle wychowany. Po prostu barbarzyńca.

I skubiąc się w nos nawykowym ruchem, dodaje z pogardą:

— Zupełnie nie zna form towarzyskich! Gdzie on się wychował, ten dzikus?

Z cyklu: stare filmy w nowym wykonaniu

MIN. SKARBU DĄBROWSKI, PRZYWIÓZŁ Z KANADY 70 MILIONÓW ZŁOTYCH W ZŁOCIE



Rys. Henryk Tomaszewski

„Pan z milionami"



(Akbaba — Stambul)

Amerykańska pobudka dla Niemców

ADAM ROGALSKI

Bez klepki Nr 5

Dyrektor zakładu dla umysłowo niezdrowych otworzył kluczem drzwi do celi nr. 13, mówiąc do dziennikarza, zwiedzającego zakład:

— Będzie pan na pewno zdumiony, panie redaktorze, ale i w tej celi siedzą pomyleńcy, którzy ubzdurali sobie, że są Napoleonami Bonaparte!

— Co pan mówi, dyrektorze?

— Słowo daję. Cały zakład już taki. Jestem pewny, że jest to jedyny zakład dla umysłowo chorych na całym świecie, gdzie wszyscy pacjenci są Napoleonami! Kapitalne, co?

— Fantastyczne! Napiszę o tym sensacyjny artykuł.

W celi siedziało czterech panów w napoleońskich kapeluszach z papieru na głowie. Wszyscy trzymali jedną rękę po napoleońsku za pazuchą.

— Niech pan spyta tego z bródką, kim jest. — podszepnął dyrektor.

—Przepraszam, z kim mam przyjemność? — spytał dziennikarz.

— Chyba pan jest ślepy, jeśli pan od razu nie spostrzegł, ze jestem Napoleon Bonaparte! — odburknął wariat.

— Nadzwyczajne! szepnął dziennikarz do dyrektora.

— Proszę pytać dalej...

— A pan szanowny, kim jest?

— Napoleon Bonapartoszczak, panie szanowny! — odparł wariat wraszawskim dialektem.

— A pan?...

— Ta małoletni mikrus by zauważył, że ja Napoleon! Ta joj, jakie te ludzie durnowate pomidory! — odparł trzeci wariat z lwowska.

— Fenomenalne! — szepnął dziennikarz. — A pan kochany? — zwrócił się do czwartego.

— Kochany, to ja jestem dla Józefinki Beauharnais, a nie dla pana! — odparł ostro czwarty „Napoleon".

— Zdumiewające! — wykrzyknął dziennikarz.

Dyrektor kiwał głową z uśmiechem.

Nagle dziennikarz uderzył się dłonią w czoło i zaczął się serdecznie śmiać.

— Ha, ha!. Wiem wszystko! Teraz pan doktór mi powie, że to jest najzabawniejsze, iż oni wszyscy są w błędzie, bo jedynym prawdziwym Napoleonem Bonaparte jest pan sam — dyrektor zakładu! Ha, ha, ha, Stary kawał.

Dyrektor z powagą potrząsnął głową.

— Nie, tego nie powiem... — odparł.

— Nie?... To na czym wobec tego polega dowcip? spytał dziennikarz z rozczarowaniem. — Bo o ile wiem, jesteśmy bohaterami humoreski...

Dyrektor energicznym ruchem wydobył z kieszeni papierowy kapelusz napoleoński, włożył go na głowę, założył rękę po napoleońsku i powiedział z dumą:

— Dowcip polega na tym, drogi panie, że ja oświadczam, iż nie tylko jestem Napoleonem Bonaparte, lecz także — przewodniczącym Związku Zawodowego Napoleonów Bonaparte!

GEN. FRANCO GWAŁTOWNIE SIĘ FORTYFIKUJE



Rys. Henryk Tomaszewski

Wał Franco

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Trzyletni plan satyryka

Trzyletni plan ekonomiczny,
Choć trudny, wyjdzie nam na zdrowie.
Mój plan trzyletni — satyryczny —
Jest również trudny. Tak, panowie!

Trzy lata pióro me nie spocznie —
Mam w gigantycznym moim planie
Kilka tysięcy szczutków rocznie,
Szturkanie, prztyczki i szczypanie.

Więc panu A, co łka, że Kraków
Jest tak daleko od Tamizy,
Winienem osiemset kopniaków —
Niechże je przyjmie zamiast wizy.

Zgol, Muzo, wąsy Hemarowi
I bądź golarką zuchowatą,
A wtedy każdy rychło powie:
„On przez omyłkę był Sarmatą".

O to mi chodzi w moim planie,
By wszystkie giętkie moje słowa
Sprawiły Przyprzowskiemu lanie,
Bo towar swój na pasek chowa.

A po tym laniu, gdy powietrze
Już czystsze stanie się dokoła,
Niech on pośladki swe rozetrze
I wnet przerobi się w anioła.

O to mi chodzi, byś, kapłanie,
Którego światła nieba nęcą
Jedynie niebu sprawozdanie
Składał, a nigdy cudzoziemcom.

Taki jest plan mój, plan trzyletni —
Niech, kto chce, krzywi się i zżyma.
Że moja Muza. zamiast fletni
I liry — bicz karzący trzyma!

JANUSZ FUKS

ŻONA MODNA

Zuzia, t. j. osoba związana ze mną więzami małżeńskimi, choruje na modę.

Był np. pęd na Zachód. „Jedziemy na Zachód!" — wołały zewsząd napisy.

— Jadę na zachód! — mówiła Zuzia. — To modne.

— No cóż, jedź — odpowiedziałem. — Może tam jakiś dobry szaberek znajdziesz.

Żona wyjechała. Przez dwa miesiące nie miałem od niej żadnych wiadomości oprócz lakonicznych kartek z coraz to innych miejscowości: „Przyślij pieniądze!" Trudno — pomyślałem — inwestycyjne koszty pionierstwa. Sprzedałem zegarek od cioci Agnieszki i buty od cioci Unry i wysłałem pieniądze.

Wreszcie Zuzia wróciła.

— Mówię ci, te Ziemie Zachodnie to perła — szczebiotała. — Wspaniała moda z tym Zachodem. Byłam we wszystkich miejscowościach kuracyjnych. Pięknie tam.

— No, dobrze — przerwałem — ale co konkretnie załatwiłaś?

— Co konkretnie? A moje zdrowie nadwątlone, które podreperowałam, to nic!? Tyran jesteś, gbur! Tam obcy mężczyźni litowali się nade mną, a ty...

Potem przyszła kolej na politykę.

— Lewica w modzie — zawyrokowała żona. — Musimy stać się bardziej czerwoni.

Po paru dniach zamówiła sobie czerwoną suknię. Do sukni konieczne były pantofle pod kolor. Do pantofli trzeba było, oczywiście, podebrać kapelusz. Potem tylko człowiek zupełnie pozbawiony smaku mógł nie przyprzyznać, że do kompletu i torebka musi być czerwona. Dziękowałem Bogu, że nie wymyślono dotąd czerwonych perlonów. Kiedy Zuzia ufarbowała sobie włosy na rudoczerwony kolor, oczekiwałem, że pewnego dnia zjawi się cała czerwonoskóra jak Indianka i zacznie do mnie mówić per „blada twarz. Do tego jednak nie doszło. Na moje szczęście Indianie nie byli w modzie.

Lecz to wszystko okazało się jeszcze nie najgorsze. Któregoś wieczoru Zuzanna wypowiedziała sentencję:

— Polityka itp. to jeszcze mało. Trzeba iść z prądem również i duchowo. Mało z prądem — z awangardą.

To był początek. Od tego dnia w domu zaczęły się zjawiać rozmaite duże i małe tworki awangardowej poezji, oraz pewien młody człowiek, podobno znany malarz futurystyczny. Styl futurystyczny zapanował również w życiu codziennym. Pokazuje mi np. Zuzia swój nowy kapelusz i mówi:

— Popatrz jak promieniuje a błękitem przestrzeni.

— Nie widzę — rzekłem.

Kapelusz był jakiś buraczkowo-pomarańczowy, więc nie widziałem w nim żadnego błękitu. Również promieniowania nie mogłem się doszukać. Jedynie widoczna była przestrzeń, gdyż zajmował jej dość dużo.

— Gżegżółka jesteś i tyle — odrzekła Zuzia.

Nie wiedziałem czy to dobrze, czy źle, ale bałem się spytać.

Gdy pewnego wieczoru wróciłem po pracy do domu, Zuzia, leżąc na kanapie, wycedziła przez zęby:

— Natchnienie myśli fluid twój przez drut unosi w dal — poczym przymykając oczy, dodała wolno — jeden... siedem... trzy... dwa... osiem.

Ponieważ trochę się już do tego przyzwyczaiłem, więc nie zadzwoniłem do Pogotowia, lecz spokojnie zacząłem jeść kolację.

Na drugi dzień spotkałem na ulicy znajomego dyrektora pewnego przedsiębiorstwa, który obiecywał mi doskonałą posadę. Ku memu zdziwieniu dyrektor nie odkłonił mi się i demonstracyjnie odwrócił głowę. Podszedłem doń.

Cóż to? Pan dyrektor obrażony?

— Czemu pan wczoraj nie telefonował? — odburknął dyrektor. — Trzy razy dzwoniłem i prosiłem żonę pańską by pan się skomunikował ze mną. Podawałem numer telefonu. A pan to zlekceważył.

Coś mi zaświtało w głowie.

— 173-28? — spytałem.

— Tak!

— Widzi pan.., zacząłem się tłumaczyć. Słowa mi się jednak plątały. Zrozumiałem, że z mojej wspaniałej posady nici.

Przysedłem do domu i zwymyślałem Zuzię.

— Nie mogłaś mi po ludzku powiedzieć że mam telefonować?

— Butelka twych zwojów mózgowych jest zakorkowana — brzmiała odpowiedź.

Zuzanna poszła kiedyś na wystawę obrazów futurystycznych. Na drugi dzień na obiad dostałem na talerzu jakieś gęsie, czy kogucie pióro ozdobione srebrem od czekolady, obok pióra leżały dwie zapałki na krzyż.

— Czy nie wspaniała indyczka? — spytała żona.

Straciłem cierpliwość. Postanowiłem jakoś działać.

— Najlepiej zwalczać przeciwnika jego własną bronią — pomyślałem sobie. Przy najbliższej okazji, gdy Zuzia poprosiła mnie o pieniądze, dałem jej kawałek drzewa, w który wpięta była szpilka i pluskiewka i rzekłem:

— Spójrz, jak ta emanacja mennicy faluje migotliwie.

— Nie wygłupiaj się, tylko daj forsę — odrzekła żona.

— Aha, pomyślałem sobie, nie fluidy i promieniowanie, lecz zwykła forsa i wygłupianie się — to już postęp. Nie ustępowałem jednak.

— Kochanie — rzekłem — plazma twych nerwów drga chimerycznie.

To ją dobiło.

— Bałwanie, ośle! — krzyczała — daj mi natychmiast pieniądze i nie zawracaj mi głowy plazmami.

Pieniądze dałem. Ale Zuzia zerwała z awangardą. Z malarzem futurystą też.

Teraz czekam jaka będzie następna moda.

MAGDALENA SAMOZWANIEC

Tragedia Daczes of Worcester

AKT I

(Umeblowanie staro-angielskie: kot, kominek, imbryk z herbatą. Biblia.)

Diuk of Worczester: Ao Alis — aj laf ju!

Honorabel miss Alis: Ao dir!

Diuk of Worczester: Aj em so fond of ju... (obejmuje ją delikatnie ramieniem).

Honorabel miss Alis: (dla fasonu) Put jur arm auey. Georgie darling (odwal się)! Ponieważ jednak ku jej rozczarowaniu Georgie odsuwa się, więc chwyta go za szyję i całuje w usta).

Diuk of Worczester: (ociera usta chusteczką). It is zy most bjutiful moment in maj lajf! (to najpiękniejszy moment w moim życiu!)

Honorabel miss Alis: Aj hop... (spodziewam się)

Diuk of Worczester: Uil ju bi maj uajf — darling? (Czy zechcesz zostać moją żoną, kochanie?)

Honorabel miss Alis: Ao dir... (obejmuje go za szyję)

Diuk of Worczester: Dont, bebi, sembodi ken si as... (Daj spokój, babo, — ludzie)

Akt II — w podróży poślubnej .

(Normalny pokój hotelowy. Dyskretny zapach pluskiew, białe firanki, umywalnia).

Daczes of Worczester: (do pokojowej wskazując miedniczkę na składanych nóżkach) Is it tu uosz zy bebi in? (Czy to służy do płókania dziecka?)

Pokojowa: (spuszczając oczy) Neu madam, its to uosz zy bebi aut... (nie pani, to do wypłókiwania bebusia).

Daczes of Worczester: (nie rozumiejąc) Ao jess... (rozbiera się i wkłada na siebie cudną koszulę, którą chowała sobie na czarną godzinę).

Diuk of Worczester: Aj must go aut, to kol sembodi ap (Muszę na chwilę pójść zatelefonować)

Daczes of Worczester: Bet, darling, ju hef zy telefon hir...

Diuk of Worczester: (zmieszany) Zys telefon is not inaf komfortebel for mi (ten aparat nie jest dość wygodny dla mnie)

Daczes of Worczester: Ao jess...

(Wychodzi, po chwili wraca okropnie strapiony).

Daczes of Worczester: Wat zy mater darling? Kom in maj arms... Aj em jurs for ewer! (Czemu masz taką durną minę? Pójdź w moje ramiona, jestem twoją na wieki).

Diuk of Worczester: (coraz bardziej zmartwiony i zmieszany) Ao, its horribel, its dretful! Aj kant! Aj kant! (To straszne, to okropne — ja nie mogę).

Daczes of Worczester: Uat hapens? Aj dont enderstend... (Co się stało, nic nie rozumiem?)

Diuk of Worczester: Aj hew mistoken auer dor, aj get in zy serwent rum. And du ju neu? Zis pipel mekt laf! Hau horribel! Hau dretful! Uen zey du it, it kant mor amjuz mi. Aj kant! (Pomyliłem drzwi i wszedłem do pokoju służby — czy uwierzysz, że oni kochali się ze sobą — jeśli służba robi takie rzeczy, to już mnie nie może bawić — Nie mogę!)

Daczes of Worczester: (głaszcze go po głowie) Pur sink! (Biedne stworzonko) What bestsl (co za bestje). (Płacze) It uas maj last czens tu get marid, nau aj uil stil bi en old girl!

(To była moja jedyna szansa zostania zamężną kobietą, teraz pozostanę dalej starą panną) Bet perheps ju uil forget... traj, darling... (Może jednak zapomnisz, postaraj się, kochanie).

Diuk of Worczester: Never! (kładzie się do łóżka, zasypiając): Gud najt, darling (dobranoc, kochanie).

Daczes of Worczester: (chlipiąc w poduszki) Gud najt, dir...

Z ruchu wydawniczego

„Księga Planet"

Nie wszyscy wiecie, że istnieje obszerna i szczegółowa Księga Planet, zawierająca sztukę rozpoznawania owych planet, wskazówki, jak znaleźć Znak Zodiaku, oraz opis dwunastu znaków niebieskich (Kraków, Drukarnia Przemysłowa, Podgórczyk i Sp.).

Zawarty w niej materiał jest tak pouczający, że uważamy za swój obowiązek zapoznać Was z tą cenną pracą naukową.

Na jednej z pierwszych stron znajduje się tabelka siedmiu planet. Przy znajomości alfabetu i odrobinie sprytu łatwo możecie się zorjentować, „spod jakiej jesteście planety".

Gdy ustalicie tę ważną okoliczność, jesteście świadomi, jaka planeta nad Wami „panuje".

Oto parę słów o każdej z nich:

„WENUS ma władzę nad... macicą, nerkami, częściami rodnymi, nasieniem ludzkim, piersią, gardłem, biodrami, wątrobą i zapachem."

Jak widzicie, gwiazda pożyteczna i wszechstronna.

Inny charakter ma księżyc.

„Jest on ozdobą nocy, ojcem rosy i wilgoci. Ma pod swą władzą mózg, lewe oko mężczyzn i prawe — kobiet, brzuch i lewą stronę ciała, wnętrzności i wątrobę kobiet".

Jak z tego wynika księżyc jest przenikliwy (wnętrzności), zezowaty (lewe oko mężczyn i prawe kobiet) i wyraźnie lewicowy.

MARS dla odmiany „panuje nad lewym uchem, żółcią, nerkami, oddechem i ukrytymi siłami. Pod jego znakiem rodzą się przeważnie furiaci o włosach zazwyczaj czerwonych".

SATURN skolei „rządzi prawym uchem (żeby nie wchodzić w paradę Marsowi, porządek musi być), śledzioną, pęcherzem i zębami. Pod jego znakiem urodzeni mają barwę skóry czarno-brunatną, oczy spuszczają zawsze na dół (wstydzą się), są chudzi, trochę krzywi i garbaci.

Wiedząc, spod jakiej jesteśmy planety, sprawdzasz bez wysiłku swój znak Zodiaku (który uzależniony jest od daty urodzenia).

Osoby, urodzone pod BARANEM (13.III — 12,IV), podpadają łatwo gwałtownej śmierci, szczególnie, gdy mają do czynienia z jurnymi zwierzętami. Jasne, jak na dłoni, że pod tym znakiem rodzą się samobójcy i torreadorzy. Ładnie rozwinięte fizycznie są dzieci urodzone pod znakiem LWA (14.VII — 15.VIII). Uda ich są niezwykle rozwinięte. Pierś szeroka, nogi chude, ale zato silne, głowa wielka (przerost inteligencji).

Urodzeni pod znakiem WAGI (5.IX — 14.X) powinni strzec się pożarów i gorącej wody. Nie radzimy w tym okresie rodzić się strażakom i „w gorącej wodzie kąpanym".

Starzy mężowie, strzeżcie się rywali urodzonych pod znakiem KOZIOROŻCA (12.XII — 11.I), gdyż uprowadzają chętnie młode dziewczęta, podchodząc z upodobaniem starych mężów.

Smutną starość mają osobnicy spod znaku WODNIKA (12.I — 18.II). Jeżeli się żenią powtórnie, druga żona będzie kulawa.

Jest dla nich tylko jedna rada: już za pierwszym razem ożenić się z kulawą. Przykrość będzie mniejsza!

P.S. Nie wiem, spod jakiego „znaku" jest autor niniejszego dzieła, ale odnoszę wrażenie, że urodził się pod ciemną gwiazdą! **A.W.**

Odpowiedzi redakcji

„Chróst-mociur panie" (Warszawa). Pisze Pan: „Szanowna Redakcjo, zbadaj humor Chrósta. Ma wiersze z rózgami, więc praca nie pusta". Zbadaliśmy. Praca, niestety, pusta.

Józef Skonieczny (Łódź). Prosimy o zgłoszenie się do Redakcji.

Władysław Godlewski (Pabianice). Twierdząc, że „młodsze dzieci odczuwają brak wierszyków imieninowych", proponuje Pan wypełnić lukę takimi oto „utworami":

„Tato tak ta tego
(kolacja wystyga),
a kuku dlaczego
tato dzisiaj rzyga"

albo:

„Cioci cieciu ciocia,
Tadziu papu gapa,
palce w zupie macza,
piesek muchę złapał"

Wie Pan, co młodsze dzieci powiedziałyby o tych wierszykach? Że autor „odczuwa brak" piątej klepki.

Leon Charczuk (Stryków k/Łodzi). Pomysł dobry, rysunek — nie.

Jó-Mi" (Piastów k/Warszawy). „Jeżeli są jakieś poprawki, to daję upoważnienie PP. Redaktorom do powyższych danych". PP. Redaktorzy z upoważnienia nie skorzystają, bo żadne poprawki „Monologowi" nie pomogą.

Wiesław Domański (Wrocław). „Graj w karty, pij wódkę, szalej w kabaretach". Nie dla nas ten program i w ogóle hulajnoga z Pana, panie Domański!

„Wisz" (Łódź). „Czasem jestem humorystą, ale chciałbym być pianistą". Nie mamy nic przeciw temu, żeby Pan został pianistą.

Stanisław Styr (Łódź). „Plagiat" jest dowcipny, ale ponieważ jest plagiatem, drukować go nie będziemy.

Jadwiga Tukowa (Tomaszów Mazowiecki). Dziękujemy za pozdrowienia. Życzymy, aby zakład kosmetyczny, który Pani prowadzi, cieszył się powodzeniem u tubylców tudzież u przyjezdnych.

„Kamot" (Łódź). Nie orientuje się Pan: „kierunek" Byrnes'a jest zupełnie zgodny z „kierunkiem" Trumana. W tych warunkach wiersz, w którym Pan wzywa obecnego prezydenta USA aby wytłumaczył Byrnes'owi, że jest „tumanem", nie ma doprawdy widoków powodzenia.

Gena Zimnoch (Warszawa). Dziękujemy za wyrazy uznania.



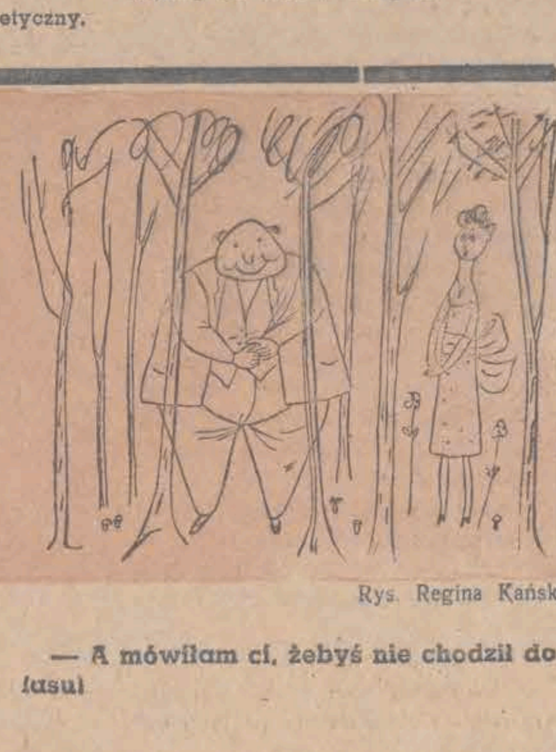
Rys. Regina Kańska

— Chciałem ci zrobić niespodziankę i kazałem wykuć twój portret w skale. Jak zejdą kozy, będziesz zupełnie podobna!



Rys. Regina Kańska

— Poczekam do rana: przyjdzie kasjer to otworzy!



Rys. Regina Kańska

— A mówiłam ci, żebyś nie chodził do lasu!

JAN CZARNY

Żółty pazur

Życie uśmiechało się do Hipolita, a że był człowiekiem naiwnym, nie dostrzegał ironii tego uśmiechu. Żona Hipolita była piękną kobietą uśmiechającą się do niego, jak życie... Udane dziecko było samym uśmiechem. Teściowa, gdyby jej przyprawić skrzydła, zostałaby przez aklamację uznana za anioła ' — co w dzisiejszych czasach najważniejsze — posiadał Hipolit mieszkanie piękne, jak bombonierka. Luksusowe, komfortowe, błyszczące posadzkami i klamkami gniazdko, filmowej niemal urody...

Zaczęło się od słomianki... Przez jakiś tydzień, kiedy Hipolit wracał z rozgłośni, gdzie pracował jako skrzypek, zmuszony był przesuwać ją nogą na swoje miejsce. To powtarzało się codzień i Hipolit nie miał pojęcia, co było przyczyną tajemniczych wędrówek słomianki, a że był artystą i człowiekiem wrażliwym, zwierzył się z tego swemu najbliższemu koledze i przyjacielowi domu, malarzowi Kraplakowi. Ten, oczy mrużąc zawodową manierą, machnął w powietrzu palcami umazanymi ultramaryną i rzekł: Głupstwo...

Tak więc przeszedł Hipolit do porządku dziennego nad zagadkowymi ruchami słomianki. Kilka dni słomianka leżała na swoim miejscu, nie mącąc szczęśliwości Hipolita. Niezadługo jednak coś innego zwróciło jego uwagę. Otóż, kiedy w kilka dni potem nakładał w rozgłośni okulary na nos, chcąc zapoznać się z nową partyturą, zauważył, że szkła są nieczyste. Zdjął okulary, ale napróżno usiłował oczyścić chusteczką... Kiedy położył okulary na nuty, spostrzegł na lewym szkiełku żółty daktyloskopijny odcisk kciuka. Dopiero w domu zdołał z trudem wywabić plamę benzyną. Dziwny odcisk kciuka nazajutrz pojawił się ponownie i tak codziennie przez pewien czas. Kraplak, któremu pokazał trzeciego dnia szkła, przyjrzał się plamie uważnie, potem zatrzepotał ruchem nieokreślonym palcami, tym razem uwalanymi grynszpanem. Dziwne-dziwne — zawyrokował...

I znowu minęło kilka dni w spokoju. Hipolit wiódł swój żywot człowieka szczęśliwego. Darzył żonę swą wracając z rozgłośni pocałunkiem w czoło, teściową całował w rękę, a dziecko w różowe policzki... Z przyjacielem Kraplakiem, który wykonywał dekoracje plastyczne do słuchowisk muzycznych w radio, wypijał codzień w bufecie głębszego, zaprawionego złocistym vermuthem.

Po pewnym czasie znów coś niepokojącego poczęło nękać muzyka. Tym razem była to żółta bawełniana nitka, którą co dzień znajdował wplątaną w struny instrumentu. Zapytany o zdanie Kraplak rzekł lekceważąco:

— Też musz czym się martwić, proszę ja ciebie... Przecież to głupstwa. Ot, weż naprzykład tego Szkorbuta, co miał sklep z galanterią i perfumerią... Musiał zwinąć mieszkanie, wysłać żonę i dzieci do Kutna i wyjechać bo przysłali mu anonim z pogróżkami... Albo, chciażby ten z rzeźni, wiesz, ten czerwony na twarzy...

Minęło znowu parę dni. Hipolita zaczęły z kolei prześladować żółte kulki o podejrzanej konsystencji, które znajdował w kieszeniach płaszcza, marynarki i w futerale skrzypiec. W takich wypadkach kładł je zazwyczaj w wełnianą rękawiczkę i przezornie wynosił daleko w ogród, znajdujący się za domem.

Stopniowo mijała dawna szczęśliwość Hipolita. Schudł, zmizerniał i w nocy miewał sny koszmarne. Na dobitkę na lakierowanych drzwiach wejściowych i na luksusowych meblach wewnątrz mieszkania poczęły pojawiać się uporczywie żółte odciski szponiastych dłoni. Hipolit przestał sypiać. Prześladowały go obłąkańcze wizje wibrujących żółtych kulek i drgających nitek. Znajomy doktór, który pracował jako puzonista w rozgłośni, zaniepokojony wyglądem Hipolita, twierdził, że są to początki żółtaczki.

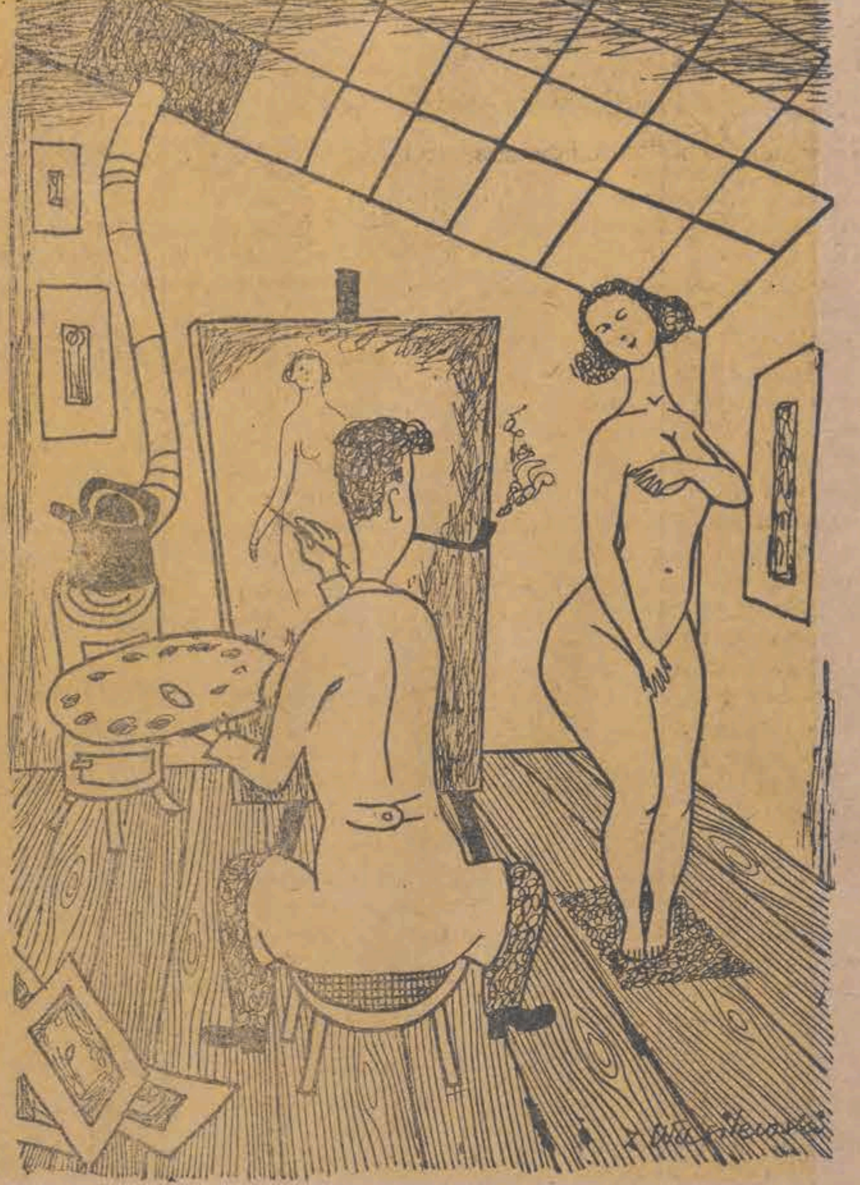
23 września 1946 roku miał się odbyć w rozgłośni wielki koncert symfoniczny, transmitowany na całą Polskę. Hipolit przyszedł do rozgłośni wcześniej niż zwykle. Rozłożył partyturę i ze drżeniem serca otworzył futerał. Odetchnął z ulgą, bo nie znalazł tym razem ani żółtej gałki, ani żółtych nitek. Grano „Zatopiony Klasztor". Partia Hipolita, jako pierwszego skrzypka była bardzo odpowiedzialna. Stał blisko mikrofonu i najdrobniejszy dźwięk jego skrzypiec dochodził do uszu słuchaczy radiowych. W najtrudniejszym miejscu, kiedy trzeba było zwrócić uwagę na ruch palców, w esowatym wycięciu skrzypiec spostrzegł coś żółtego. Zimny pot zrosił mu czoło i palce nagle zesztywniały. Żółta mgła przysłoniła mu nuty. Świadomość, że gra źle i rozpaczliwe ruchy dyrygenta nie potrafiły odwieść jego uwagi od żółtej zagadki. Do końca koncertu zdołał ustalić, że ktoś pomalował wnętrze jego skrzypiec ową, dobrze mu znaną żółtą farbą. Zaraz po koncercie zatrzasnął futerał i zadyszany pobiegł do Kraplaka. Przy jego pomocy wydobył z wnętrza instrumentu żółtą, zaadresowaną do niego kopertę z zawartością kartki o następującej treści:

— Ostrzegamy ob. stop. Wasza muzyka stop szkodliwa dla narodu stop zginiecie stop za tydzień stop —

Pod tym widniały dwa skrzyżowane pistolety, znany żółty odcisk daktyloskopijny kciuka i podpis: — ŻÓŁTY PAZUR.

Po dłuższej naradzie z przyjacielem Kraplakiem Hipolit postanowił przenieść się do innego miasta. Sam się wprawdzie nie obawiał, ale nie mógł narażać żony i dziecka... Nazajutrz poprosił więc Dyrektora rozgłośni o przeniesienie i w ciągu trzech dni opuścił wraz ze swą rodziną miasto, nie bez łezki żalu, żegnając się ze swymi kolegami i przyjacielem Kraplakiem.

Nazajutrz po jego wyjeździe dekorator słuchowisk muzycznych, artysta malarz Kraplak zajął opuszczone mieszkanie kolegi. Przytaskał ze swej mansardy na poddaszu jedyną walizkę, jaką posiadał, kasetę z farbami i jakieś blaszane pudełko. Obecnie można go często widzieć rozpartego w fotelu w gabinecie Hipolita. Mrucząc z zadowolenia pali swą malarską fajkę, podobną do fajki Van Gogha i wypuszcza pod sufit strugi żółtego dymu. Przed nim na biurku Hipolita stoi otwarte owo blaszane pudełko, które przyniósł z sobą, a w nim widnieją żółte poplątane nici, słoiki z żółtym kadmem i gałki takiegoż koloru, konsystencja których i pochodzenie znane są tylko jemu. Opodal na sztalugach stoi rozpoczęta martwa natura, w monochromicznej żółtej gamie, ulubionej tonacji malarza Kraplaka.



Rys. Zenon Wasilewski

— Dlaczego pani się wstydzi? Czy pani jeszcze nigdy nie pozowała do aktu?

— Owszem, nieraz, ale malarzowi to jeszcze nie.



Rys. Zbigniew Kiulin

— Czego patrzysz na mnie wilkiem?

— Bo na ostrowłosego terriera mnie nie stać!

UWAGA!

W następnym numerze „Rózeg" zamieścimy rozwiązanie konkursu „Inicjatywa Prywatna".



Rys. Zbigniew Kiulin

— Pan władza pewnie po autograf?

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Rózgi ukazuia sie co tydzień. — Redakcia: Łódź, Piotrkowska 98 — telefon 212-57
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański, Henryk Tomaszewski Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-41
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. D 08958